

przecież jak może być prawdziwe coś, co „zostało ukształtowane przez wartości patriarchalne” itd., itd.

W tej podszytej hermeneutyką podejrzeń i teorią wyłączności podmiotu koncepcji uderzający jest jej antyuniwersalistyczny i zamykający charakter. Oto w ogóle tracimy na tym świecie możliwość faktycznego i dostępnego dla wszystkich liturgicznego kontaktu z Bogiem, zbawczą łaską Chrystusowego Krzyża, podnoszącą z upadku każdego, niezależnie od płci, rasy, statusu społecznego itp. Zostaje nam duszny solipsyzm „ja”, modyfikowany nie przez wertykalne otwarcie na Boga, lecz co najwyżej przez akceptację treści innego/ innych „ja”. Otwarcie okazuje się zatrzaśnięciem. Na amen. ■

Tomasz Dekert

Pustkowie zakwita

Kraina miodu

(Медена земја, *Medena zemja*, *Honeyland*),

reż. Tamara Kotevska i Ljubomir Stefanov,

2019 rok.

Wyszedłem z seansu *Krainy miodu*, macedońskiego kandydata do Oscara, w podobnym zachwycie, jaki towarzyszył mi w przypadku oglądanego stosunkowo niedawno *U bram wieczności* (chodzi o film w reżyserii Juliana Schnabela, z Willemem Dafoe w roli Vincenta Van Gogha, o którym pisałem w artykule *Artysta jest Adamem*). Ni to dokument, ni to fabuła, a w rzeczywistości cudow-

na filmowa medytacja nad mistyką samotności. Albo mówiąc jeszcze inaczej, jest to przypowieść dotycząca prawideł życia duchowego, o których pisał prorok Izajasz: *Niech się rozwesela pustynia i spieczona ziemia, niech się raduje step i niech rozkwitnie, niech wyda kwiaty jak lilie polne* (Iz 35, 1-2). Jesteśmy bowiem w opustoszałej macedońskiej wiosce, która raz wygląda jak ogród Eden, a innym razem jak pustynia, miejsce przeklęte i wrogie. Ziemia nietknięta wpływem cywilizacji, milcząca, jakby uśpiona, w skałach ukryte plastry miodu, dokoła bezkres, gdzieś ruiny starego, zapomnianego życia, przestrzeń tak rozległa jak niebo ponad nią. Wszystkim rządzi kolor piachu i błękit. „Mówię ci – nic nie ma na świecie, tylko ocean nadchodzących dni i niebo nad nimi rozpięte” – pisał amerykański poeta Carl Sandburg¹. Widz już od pierwszych scen rzucony zostaje w głąb takiego właśnie świata.

W okolicy mieszkają tylko dwie osoby, samotna kobieta Hatidze, której Opatrzność przydzieliła opiekę nad dogorywającą matką, psem oraz gromadką kotów. Nie ma tu prądu, dostępu do wody ani dróg. Hatidze jest też ostatnią pszczelarką, która zajmuje się tym fachem tak jak jej przodkowie, zapewne ci ze „złotego wieku” lub czasów biblijnych. W poszukiwaniu miodu wspina się po urwistych zboczach, wsłuchuje się w wydrążone pnie drzew,

¹ C. Sandburg, *Preria*, tłum. M. Skwarnicki, w: tegoż, *Wybór wierszy*, oprac. M. Sprusiński, Warszawa 1971, s. 81.

aby uchwycić język stworzenia, oddaje należną sprawiedliwość Stwórcy wszechrzeczy, rozpoznanemu bądź tylko przeczuwanemu. W ten trudny, pierwotny (czy raczej „bezczasowy” bądź „pozaczasowy” świat) wkrótce wdzierają się eksploatacja. Pojawiają się sąsiedzi, a wraz z nimi koparki, nowsze metody pracy w pasiece, szybciej, lepiej, więcej. To, co stare, musi ustąpić. Ale sądzę, że ten film przede wszystkim opowiada o czymś głębszym, prawdziwie mistycznym. Hatidze odzierana jest bowiem ze wszystkiego, czego mogłaby pragnąć i potrzebować: ze spełnionych chęci bycia matką, z obecności męża, z towarzysztwa własnej matki, która wkrótce umiera, z obecności innych ludzi, którzy pojawiają się tylko po to, aby wyssać miód i odejść, z obecności pszczół, z których pracy czerpie, oddając im jednak miłość człowieka, „pana stworzenia”. Żyje na pustkowiu i sama jest pustkowiem. Lecz i pustynia z czasem zakwita, a Bóg, uśmiercając, po pewnym czasie przywraca do życia nowego, innego. Oto wejście w pustkę, która właśnie po to miała stać się pustką, aby mogła przyjąć przelewającą się pełnię – o tym jest ten film. A tytułowa „kraina miodu” to nie tylko ziemia, która pod powierzchnią ostrych, bielejących w słońcu skał skrywa ogrom plastrów miodu. To coś znacznie bardziej wewnętrznego.

Tamara Kotevska i Ljubomir Stefanov stworzyli piękny, subtelny, poetycki film otwierający widzów na wymiar mistyczny człowieczego losu. W ostatnich latach kino niezależne naprawdę wypuściło wspaniałe metafizyczne dzieła, ta-

kie, które korzeniami tkwią w wierze, iż „piękno zbawia świat”. Na podstawie takich filmów jak *Camille Claudel, 1915* (reż. Bruno Dumont), *U bram wieczności* (reż. Julian Schnabel) czy *Kraina miodu* nader jaskrawo widać duchowe odrodzenie w kulturze i – mówiąc szczerze – niezmiernie mnie ono cieszy. Bo *Kraina miodu* to, owszem, seans duchowy. Nie jest to, jak chcieliby niektórzy, jakiś płytki w swej jednoznaczności manifest działań ekologicznych, zbiór obrazków z wakacji w Macedonii albo niewyszukana metafora, która za obrazem ginącego świata chce przypomnieć o końcu Europy. To przede wszystkim film, który zachwyca obrazami piękna stworzenia, tak prostymi, czasem wręcz surowymi, a jednak utrzymującymi w stanie bojaźni i czci dla Stwórcy. To dzieło, które wzbudza najlepsze ludzkie odruchy, pogłębia szacunek dla prawdziwego misterium ludzkiego życia, otwiera na dobrego Boga ukrytego za tym, co codzienne, jak i za tym, co bolesne. I wreszcie – to niemal Hiobowa opowieść o odradzaniu się pełni tam, gdzie doświadczane jest ogołocenie. *Bo trysną źródła wód na pustyni i strumienie na stepie* – zapowiadał starotestamentowy prorok – *spieczona ziemia zmieni się w pojezierze, spragniony kraj w krynice wód* (Iz 35, 6-7). ■

Michał Gołębiowski